

## SZCZĘSNEGO MORAWSKIEGO FELIETONY PUBLIKOWANE W KRAKOWSKIM „CZASIE”

(wybór z lat 1855–1860)<sup>1</sup>

Szczesny, a właściwie Feliks, Morawski zaczął regularnie publikować w krakowskim „Czasie” w 1853 r. w dziale literacko-artystycznym, swoje felietony, podpisywane Bartłomiej Arbuzowski, B.A. lub S.M. Całość publikowanego przez Morawskiego w „Czasie” materiału można podzielić na trzy grupy: gawędy i obrazki obyczajowe w życzliwy sposób, choć nie bez ironii, opisujące sądeckich chłopów, mieszczan, Żydów i ziemiaństwo; korespondencje i reportaże prasowe dotyczące spraw bieżących, relacjonujące wydarzenia społeczne i polityczne; teksty dotyczące szeroko pojętych świadectw historycznych, dokumentów i zabytków, których poszukiwanie stało się w tym okresie sensem jego życia. Pisarstwo Morawskiego, często rozwlekłe i wypełnione tak charakterystycznym dla niego gadulstwem, nie wolne od historiozoficznych i pseudofilozoficznych rozważań, zawiera wiele niezwykle interesujących spostrzeżeń, opisów i mało znanych informacji. Warto zaznaczyć, że ilekroć udało się dotrzeć do innych źródeł dotyczących relacjonowanych przez Morawskiego wydarzeń, zwykle potwierdzały one prawdziwość jego opowieści. Współpraca Morawskiego z „Czasem” zakończyła się w drugiej połowie lat sześćdziesiątych XIX w. Od tego czasu teksty publikował w „Dzienniku Literackim” i innych periodykach galicyjskich.

Poniższe felietony opublikowane zostały w kolejnych numerach „Czasu” w lipcu, wrześniu, październiku 1855 i w kwietniu 1860 r. Są one reprezentatywną próbą prasowego pisarstwa Morawskiego. Pierwszy z nich poświęcony jest ziemiaństwu, drugi sądeckim Żydom, trzeci przede wszystkim chłopom, a czwarty to interesujący także z etnograficznego punktu widzenia opis pobytu w Starym Sączu grupy Cyganów przybyłej z Węgier. Wszystkie posiadają walor cennego źródła do dziejów obyczajów społeczeństwa galicyjskiego w połowie XIX w.

Jego pasją było poszukiwanie materiałów historycznych. Odbywał liczne, nieraz odległe wyprawy, badając zawartość archiwów podworskich i parafialnych. Zainicjował na terenie Sądeckizny badania archeologiczne.

---

<sup>1</sup> Wybór i opracowanie Marcin Sepiał; uwspółcześnienie pisowni – redakcja. Obszerniejszy zyciorys Szczęsnego Morawskiego pióra Marii Kurzeji-Świątek – zob. „Małopolska”. R. XII: 2010, s. 357–361.

## OBRAZKI SIELSKIE Z SANDECKIEGO<sup>2</sup>

### Czysto gardłowe sprawy

#### I.

Młoda dziedziczka wyjechała na żętyce i świeże powietrze do świeżo nabytej górskiej wioski. Dwie rzeczy szczególnie jej uwagę zwróciły: piękna okolica, a obok jako kontrast najprozaiczniejszy, mnóstwo ludzi gardzielowatych czyli jak tu zowią wólowatych. Okolice piękna, bo od folwarku widać na północ w półkole Cieniawy i Mystkową z kościółkiem pod lipami, probostwem ogrodzonym, przydrożną karczmą i obok samotnej sędziówki z kamienia na glinie stawianą gorzelnią. Wszystko to w tle górami Paszyna i Librantowej od nieba oddzielone. Na wschód doliną jednej z trzech Kamionek założona od matki króla Kazimierza Wielkiego, Jadwigi Wielkopolskiej wioska, ciągnie się coraz wyżej ku źródłom rzeki u stóp góry „Wierch Boguski”, która się wraz z Bratosówcem w mglistej dali gubi. A od zachodu otwartą doliną wije się po jasnym kamieńcu rzeka Kamionka Wielka lśniącym wężykiem wśród jazów i tam, i olszyn, i łożów, a ponad nią sinieją zadunajskie góry: Kanina, Wysoka, Śłopnica het aż ku Tymbarkowi i Mszanom. A kiedy poza nich słońce zapadając gorącymi barwy widokrąg rozjaśni, błyszczą biały dwór Brzezny, Chełmiec, Bieczyce, Sładło i Podgrodzie, a na krańcu waclawowy gród, Nowy Sącz. Ku południowi od granicy tam już czysty górski świat. Przed tobą konfederackie obozowiska w Muszynie i Piwnicznej, w prawo malownicze góry Ochotnicy i Szczawnicy, a u stóp historyczny Lubomierz i romantycznie piękna Nawojowa. Powietrze jak w raj, a woń macierzanki, mięty i leśnej żywicy odświeża zwiędłe płuca miastowych turystów, a wzdyma zdrową pierś górala, który się tu jednak jeszcze nie mianuje góralem.

I dziwić że się tu, że naszej wzmiankowanej pani i jej gościom wraz przybyłym serce poezją naszło, a uczucie skrzydełkami porosło. Cóż, kiedy prozaiczne wóle wrażenie psuły, a tu młynarz z wólem, młynarzątką z wólikami, parobek jeden z wólem po prawej stronie, drugi na lewej, sąsiad za wodą z potężną gardzicą za uchem, a drugi na Kosówce dwoma wielkimi, a jednym małym gdyby Sewastopol, Małachową i Kwarantanny basztą szyje ufortyfikował. Nawet ulubiony zwinny woźnica dworski całą swadą i wszystkimi figłami nie mógł zamaskować wólika, chociaż nie większego jak pół jaje indyjskie. Ze strachem dowiedziały się panie, że to z wody te gardziele rosną i zrazu nie chciały wody pić, ale je uspokojono, że to tylko gdzieś taka woda się znajduje, we dworze zaś zdrowa, a dworskie wóle są przychodniami, więc piły i bardzo im nawet smakowała.

Rozgościwszy się, podzielono dobę jak zwykle i zajęto się przepisana kuracją. Rano spanie, dokąd muchy i słońce nie obudziły, potem przechadzka do zupełnego zroszenia się po kolana i przemoczenia nówek, bo w kaloszach gorąco i niewygodnie, dalej kąpiel przerywana swawolą młodych pstrzązków, śniadanie, toaleta i obiad. Po obiedzie szpaczek w ogrodzie i przechadzka przedpołudniowa. Po herbacie ostatni spacer, wieczera i dobranoc. Przechadzka ranna przy żętycy bywała trochę uciążliwą, bo to jeszcze przed dziewiątą wstać, po rosie chodzić i słońcu się dać skwarzyć to nie bardzo miło, za to pod wieczór, to ale! Wtedy moje panie brały dzieci ze sobą i nudny stryj się przyplątał

<sup>2</sup> Felieton *Obrazki sielskie z sandeckiego* opublikowany był trzech częściach w nr 163 i 164 z 21 i 22 lipca oraz w nr 168 z 27 lipca 1855 r. Tu zamieszczona została tylko pierwsza część.

i podczas kiedy dziatwa kwiatki po polu rwała lub ku wielkiemu stryjowskiemu niezadowolaniu za kąkołem i bławatem w żyto się skradała, szły obie panie w tyrolskich od słońca kapeluszach, a prócz tego z parasolkami, unosząc fałdy powiewnych sukien w zgrabnych paluszkach, rozmawiały i żartowały ze sobą, lub gderającego stryja sekowały słabościami serc kawalerskich, przy czym nieraz o dziatkach zapomniano i o drodze, a czasem nawet o zegarkach za pasem.

W niebytności stryja nuciły jaką piosnkę, lub szły zadumane nad pięknym widokiem. Onego razu bardzo był piękny dzień. Słońce zapadało w iskrzącej zorzy, ptastwo szczebiotało, macierzanka i zioła miłą woń rozszerzały, dzieci igrały po łące z pokojową, a obie panie szły zachwycone pochyłym działem ku lasowi nucąc sobie jedna: *Gdybym ja była gwiazdeczką na niebie...* i marząc o małżonku, którego łysina tuzin by gwiazdeczek przyćmić zdołała; druga zaś nie rodowita Polka śpiewała: *Hde domov můj, hde domov můj!*...<sup>3</sup> i marzyła zdaje się o domu, gdzie przywiązany małżonek dostatecznej tuszy, pewno listy od niej i dzieci czytał i z łąką radości odpowiedź pisząc wraz z ojcowskimi szczerymi pozdrowieniami, bankowe papierki srebrem odciskane, na których Niemiec pługiem orzący przedstawion – pięcią pieczęciami przypieczętowywał. Bo w samej rzeczy o lepszego męża i ojca trudno, jak to sam poświadczyć muszę. Szły tedy obie panie marząc i nucąc ścieżką ponad potok, dalej potoczkiem w lasek jodłowy i zaszły aż do źródła, które bełkocąc pod korzeniami potężnej jodły ze skały biło. Opoдал słyhać śpiew pasterski i bek owiec z jagniętami, a ponad głowy gruchały dzikie gołębie i śmiały się kukułki.

„Ach jak tu pięknie, jak tu miło!” – „Siądźmy sobie nad źródłem” – „Dobrze” – „Ale! Ale! Ja mam szklanek w torbeczce!” – „A to dobrze!” – I wyjęła kubek karlsbadzki płaski z napisem *Andenken an Karlsbad*, nadstawiono w zdroj i wśród wykrzykników „Ach jakaż zimna! Jaka dobra, jaka cudna!” – wypity panie po kilka szklaneczek i znów dumaly o małżonkach otyłych i słyhały gruchania gołębi i śmiechu kukułek i oddychały wonia macierzanki. A kiedy już słońce zapadało, wstawszy wracały opojone pięknoscią przyrody i wonia powietrza. Wychodząc z lasu obaczyły stadko owiec sąsiedzkich i rozczuliły się bekiem jagniąt tyle podobnym do płaczu niemowląt, prosiły dziopy, aby im jedno uchwyciła chcąc je pogłaskać i ucałować. Pasterka uchwyciła i podając pocałowała w rękę a potem spojrziała w oczy paniom, z których jedna z przestraczem wykrzyknęła: „Widzi pani wól! Wóla ma! A skąd ty wodę pijesz dziewczyno?” – „Choć kej prosię pani pijewa, i tu u źródła i z potoka i wedle chałupy z kadłuba” – „A macie wszyscy wóle?” – „Tatusz mają ale mamusia ni, i jo mom, ale Maciusz nie mo...” Panie nie dosłychały końca, ale jedna drugą za rękę ciągnęła, trzymając się za szyjkę dla zapobieżenia wyrośnięcia wóla i czym prędzej biegly do dworu. Tam chodził stryj po sali, kręcił wosa i kład od kroćset diabłów, bo parobcy nic nie robią tylko się kręcą po kuchni jeden za kucharką, drugi mamką, trzeci pokojówką, które im zaraz na wstępie głowy pozawracały, a tu do tego panie poszły w pole, herbata już od dwóch godzin powinna być, a zdrowego żołądka wonia macierzanki nie zbędzie.

W tem patrzy, biegnie jedna, druga, zdyszane, przełknięte: „A co tam, czy nie wilk?” – „Ej nie! Gorzej jak wilk.” – „Cóż takiego?” – „Mamy wielką, wielką prośbę, nie wie

<sup>3</sup> Pierwsze słowa hymnu czeskiego.

też stryj jakiej prezerwatywy od wóli, bo my piły wodę u źródła, a tam wóle mają.” – Stryj dopiero w śmiech! A panie coraz bardziej skrzywione, wreszcie w płacz!

„Herbatę dajcie! Jak najprędzej!” – zawołał stryj i chciał się podoczyć, ale widząc łąy szczerogo strachu i widząc, że nadbiegające dzieci przy matkach zapłakanych każde sobie krzywić się poczyną, rzekł, aby były spokojne, bo najniezawodniejszym środkiem jest żętyca i herbata. Żętyce piłyście panie a herbaty się napijmy, bo na dowód skuteczności proszę mi choć jednego ze szlachty powiedzieć co herbatę pije, żeby wóla miał, nawet od samego wina nie dostanie, a herbata z huczkiem po podolsku niezawodna. „A jakaż to herbata z huczkiem?” Zaraz paniom służę. Nalał herbaty i bierze rum. „Ale my nie będziemy z rumem.” – „Do huczku musi być rum” – i leje na tyżeczkę. Przełało się, a panie krzyknęły: ho! – Otóż się zowie z huczkiem, kiedy panie lejąc sobie rum zawołają ho! – Koniec końcem napiły się herbaty z huczkiem, a ponieważ skutkowała, więc prócz wdzięczności obiecano regularnie do herbaty przychodzić.

#### OBRAZEK SADECKI<sup>4</sup>

##### Amulety od cholery – taksa chorób i sumienia!

Żydzi nasi nie uznają między sobą praw innych prócz mojżeszowego i jego wykładu, *Talmudu*. Stąd wypływają częste sprzeczności z prawem istniejącym. Pomijając inne, wspomnę o najważniejszej – prawo istniejące wzbrania urzędu rabinu Żydom nieusposobionym i niepotwierdzonym przez urząd. Prawo Mojżesza zaś mówi, iż każdy Lewita jest kapłanem. Stąd więc wynika, iż rząd swoich, a chasydzi<sup>5</sup> (chassidim) swoich rabinów mianują. Rabini rządowi pobierają stałą płacę, chasydzy zaś żyją z dobrowolnych darów, a przy zdarzonej sposobności z okupu za odpuszczenie grzechów i leczenie chorób. Między rabinami chasydzkimi celują niektórzy nauką, cudami i prorocstwem, mianowicie rabin: w Sadogórze (zmarły jako dziedzic kupionego gniazda Potockich *Złoty Potok!*), w Mikołajewie, w Bełzie, w Przeworsku, w Rzeszowie, tak zwany Szmulowej zięć – w Wielopolu, Strzyżowie, a w końcu obywatel rabin sądeckiej ziemi rezydujący w Nowym Sączu, którego sławie niniejszych kilka wierszy niechaj hołdownią! – *nota bene* nie mówię o *Kreis-rabinerze!*<sup>6</sup> Ale o rabinie arcy-wiercy<sup>7</sup>.

O ile większym, zamożniejszym i cywilizowańszym Sącz od Rudnika<sup>8</sup>, o tyle wyższym w każdym względzie rabin sądecki od rudnickiego i (dzięki jego cywilizacji) cała z samych chasydów złożona arcywierna gmina!

<sup>4</sup> Felieton *Obrazek sądecki* opublikowany był w nr 215 z 22 września 1855 r.

<sup>5</sup> W oryginale Morawski używa słowa „hussyci” dzisiaj niezrozumiałego i mylącego, jako że Żydzi chasydzi z Janem Husem i husytami żadnego związku nie mają (red.).

<sup>6</sup> *Kreisrabin* to ustanowione patentem Józefa II w 1789 r. stanowisko naczelnika gminy żydowskiej w większych miastach galicyjskich.

<sup>7</sup> Cadykiem (rabinem chasydzkim) nowosądeckim był w tym okresie teolog i uczony Chaim Halberstam Sadczer (sądeczanin).

<sup>8</sup> O gminie żydowskiej w Rudniku nad Sanem pisał Morawski w osobnym felietonie pt. *Obrazek znad Sanu. Wyświecanie cholery*, „Czas”, 1855, nr 198 (1 IX), s. 1–2.

Mamy rok 1855, a w nim był miesiąc sierpień, pełen chorób, pełen cierpień. Cholera się srożyła nad ludźmi, w obu Sącach gminy żydowskie dziesiątkowała. Hussyci bez wyjątku należą do ludzi najniechlujniejszych w świecie, bo zajęci mrzączkami talmudycznymi, krzykiem i hałasem chcąc Boga przysilić do przebaczenia, nie mają czasu pomyśleć o pierwszej niemal człowieka cnotcie. W ich więc dzielnicy na kupach plugastwa głównie obozowała cholera niszcząc całe rodziny. Kapłan chasydzki wyrzekł: Patrzenie! Goimy nie tak mrą jak my! Jehowa na nas tylko zagniewany! Cała gmina jękała trwoga i zwróciła oczy swe na niego, aby jako wtajemniczony w tajemnice pisma wyrzekł, co czynić w celu pokonania gniewu Bożego? Czy głośniej krzyżeć przy modlitwie, czy może ustać w szabas tabakę niuchać, bo któż zgadnie o co Bóg zagniewany? Najpewniej za tych odszczepieńców Bóg lud cały karze, którzy postrzygli pejsy, pogolili brody i kaźmierzowski stary żupan na modny paletot przekroili, jeżeli nie za co gorszego!... Może się które zbłąkane dziecko Izraela dopuściło najokropniejszej z wszystkich okropności – może się wychrzciło i zostało *misimedem*!! Ach! To pewno za to Bóg cholere zesał, a na Sącz bodaj nie za oną Żydówkę z Grybowa co się łośńskiego lata w Kamionce wychrzciła, a obecnie gdzieś nad Dunajcem na plebanii służy!!! – Tłumem biegli do rabina zapytując co czynić, od czego zacząć poprawę i żal.

Ale z głęboko uczonym nie tak łatwa sprawa; on nie pozytywka, żeby grał za pierwszym pokręceniem! Modląc bezustannie nie odwracał się nawet ku pytającym i zachowywał wreszcie głębokie milczenie, że Żydom aż na rozpacz się brało. Jednakowo ta sama krew i przyroda odgadła wnet sposób właściwy – poczęli znosić jałmużny. Kto bowiem tylko na świecie wzięcia nabyć chce, musi zacząć od hojności; świadkiem tego nasze przysłowie o „papce”, świadkiem Montefiore w Jerozolimie. U Żydów bez tego ani rusz. Więc rabini chcący sławy nabyć są szczerobliwymi mianowicie w szabas, kiedy ubóstwo bezpłatnie karmią. Nie mający więc zasobów własnych, odbierają składki dobrowolne i przygodne. Do zaufanych bowiem rabinów spieszą Żydzi w każdej potrzebie, a za każdą radę uzyskaną płacą dobrowolną ofiarę. Dobrowolna o tyle, że bez oporu daną, często jednak z góry ugodzoną. Przy chorobach mianowicie, zwłaszcza od bogatych, zawsze z góry żądana bywa pewna suma, za którą idzie obietnica modlitwy i uzdrowienia. Jest to taksa duchowna dowolnie nakładana, często bardzo znaczna. Kilka datków pomniejszych bez wymagań złożonych, przyjęte były w milczeniu niezwróciwszy nawet uwagi. Przychodzi w końcu kreska na Żyda majątnego kupczącego żelazem. Żona mu nagle zachorowała, biegnie więc do rabina prosząc o pomoc. „Dasz 200 fl. m.k.<sup>9</sup> na ofiarę, a żona twoja będzie zdrową” – wyrzekł uroczyście rabin i nieprzystając modlitwy nie baczył nawet na biedaka. Dwieście złotych reńskich! *Cwahindert gilden fercygier!* Mruczał sobie w duchu przerażony, a poty śmiertelne wystąpiły na niego i na jego kieszeń. Chciał targ rozpocząć. *Cwa-hindert gilden! Jech beit aach! Dus is a sach! Co znaczy dwieście ztr., proszę was to wiele!* – ale rabin zniecierpliwiony obejrzawszy się, na migi mu wymownie drzwi wskazał. Żyd reszty się domyślił i biegł do domu niby oparzony, mówiąc ciągle do siebie i drugich: *A sach mues! Cwa-hindert gilden! A sach mues!* W domu zaś

<sup>9</sup> m.k. – moneta konwencjonalna, rabin życzył sobie 200 florenów w monecie bitej (red.).

zastał smutek wielki. Żona bowiem w okropnych boleściach jęczała ratunku i już siniała w kurczach. Widok ten przemógł! Chwycił kieskę i wraca co tchu do rabina, niosąc mu żądane 200 fl. Wchodzi, a rabin go wita: Za późno, twoja kobieta umrze! Idź z Bogiem! Poszedł – w godzinę umarła.

Więść o tym cudzie błyskawicą mknęła z ust do ust, a bogatsi pocierpnęli, widząc taki strach i wydatek. Wkrótce zachorowała żona kupca bławatnego. Biegnie do rabina, ale już z pieniędzmi. Rabin żąda 50 fl. m.k. Dał bławatnik żadaną ofiarę, kobieta wyzdrowiała i – nowy cud.

Zapłacić – zdrowie! Nie zapłacić – śmierć. Juźcić lepiej zapłacić, a żyć! – myśleli bogatsi chasydzi i poszli do rabina w układy wchodzić. Obiecali sowitą ofiarę, byle im powiedział sposób odwrócenia kary boskiej od utrapionej gminy. Taka przedmowa odniosła skutek pożądany. Wypadł wyrok, aby się zebrali ofiarników 12. Zeszli się i złożyli ofiarę. Z uroczystym przekonaniem rzekł im wtedy rabin, jako istnieje w samej rzeczy środek od cholery! Środek niezawodny, wyczytany z samej głębi głęboko uczonych ksiąg. A w księgach tych stoi zrozumiały tym, którzy tajemnice *gamury* tj. pisma świętego zgłębili: „Istnieje ziele zielone woniejące o żółtym kwieciu, a końce listków w trójlist zakończając, a ono ziele będzie pomocnym od morowych chorób”. Z niewypowiedzianą radością rozbiegło się Żydostwo szukać onego ziele. Ogród nie ogród, łąka nie łąka, las nie las, biegali i „botanizowali” zawzięcie. Niebawem nanieśli ziół najrozmaitszych poddając pod sąd rabina, które z nich nosi znamiona zakonem opisane? A były tam konicze czerwone, białe i żółte, były rumianki polne i lekarskie, były łądosy, bylice i Bóg wie co. Wybór jednak padł na nasza pocziwą rutę (*ruta graveolens*) ów stary symbol dziewiczości! Kto ją znał, kto wyszukał? Gdzie? I pokazało się, że w patriarchalnej sądeckiej ziemi niestety bardzo mało ruty!! Co ważną wiadomością dla wszystkiej krwi sądeckiej, która skroń dziewiczą rucianem wieńcem zdobi! W zborze protestanckim czyli raczej w ogródku przysługującym nauczycielowi zboru tego znaleziono krzaczek, a z dworów to tylko w bok między Starym i Nowym Sączem dwór jakiejś tam Dąbrowy rutą wonieje! I z tych to czterech miejsc uszczkniętą rutę uznał za ziele cudowne zakonem opisane, jako morochronne. Znaleziono tedy ziele, ale jak go urwać, żeby było po formie? Pomodlono się wspólnie, po czym rabin dał tajemniczą instrukcję, iż ziele to trzeba rwać kiedy noc ustępuje dniowi, wśród głośniejszej modlitwy. Nowy sęk. Zbór protestancki ogrodzony nieprzebytym murem i głębiną Dunajca. Bramę król Wacław<sup>10</sup> na urząd fundował, a zamek potężny co wieczór zamyka nauczyciel zboru i zachowuje klucz aż do białego dnia. Zresztą ogródek piękny, opielony, wygrabany; gdzież tam pozwolą Żydom po nocy deptać i rwać rutę? Rada w radę wysłano poselstwo do nauczyciela; ponieważ zaś chodziło tylko o 2 punkta: otworzenie bramy i pozwolenie ruty, więc wnet zawarto traktat, chociaż nie bez okupnego.

Nazajutrz, jeszcze z godzinę przed dziennym świtem kołatała żelazna staroświecka kłapaczka o grube szyny, którymi brama do dziedzińca kościoła, niegdyś Wacława, wiodąca okuta, a kiedy bramę otwarto weszło 12 chasydów wybranych wraz z rabinem, opatrzeni

<sup>10</sup> Zbór protestancki w Nowym Sączu działał w dawnej kaplicy klasztoru franciszkańskiego, uposażonego w 1297 r. przez Wacława II króla Czech i Polski. Pikanterii dodaje fakt, że zabudowania skasowanego w 1785 r. klasztoru franciszkańskiego gmina protestancka kupiła w 1800 r. od gminy żydowskiej. *Dzieje miasta Nowego Sącza*, pod red. F. Kiryka i St. Plazy, t. II, Kraków 1993, s. 92–93, 99.

w księgi nabożne i latarnie zapalone, i nie wdając się w rozmowy z odźwiernymi szli prosto do ogrodu za światłem latarni hussyty starego, przewodniczącego. Ogród leży na samym brzegu Dunajca, a gruzy starych miejskich murów obrywające się wraz z brzegami do czystej głębinie, nie wzbraniają przystępu, ani nawet widok tamują kiedy oko z brzegu ponad Dunajec i prześliczne jego okolice odnogą Tatrów uwieńczoną pobujać zechce. Tam na tym brzegu przy gruzach historycznych murów, stało naszych 12 chasydów w przedporannym mroku czarno ubranych, gdyby duchy możliwe milczące i spoglądało ku wschodowi mniemając, że tam judzka ziemia. Skoro tylko najpierwszy ślad przedświtu spostrzegli, wzniosł rabin głos żałobny i skarżył Bogu niedolę ludu jego i wzywał miłosierdzia. Poczem wyjął pieniądz złoty i drugi większy, także złoty z uszkiem sufryn, jaki Żydówki na szyi nosić zwykły, i schyliwszy się nad rutą odmówił modlitwę, na którą jak na każdą przytomni chórem *umaj!* tj. amen, niech się stanie – odpowiedzieli. Pierwszym pieniądzem ukroił listek ruty i wetknął go w uszko sufryna i podając jednemu z chasydów wyrzekł uroczyste: Ty N.N., który tu obecnie przedstawiasz pokolenie Juda! Weźm ono ziele uszczknięte złotem i przeciągnij przez on pieniądz złocisty, a jeżeli za twoje pokolenie Bóg naród karze, to niech przez ofiarę ziela tego woniejącego gniew jego ku nam zmięknie! – a chór odpowiedział: *Umaj!*

Tak czynił 12 razy urzynając złotem rutę i przemnąwszy przez złociste uszko oddawał z kolei reprezentatom dwunastu pokoleń, przy tej samej modlitwie zakończonej przeciągłym *Umaj!*

W końcu gromadnie zwykłym hałasem i krzykiem modlili się z ksiąg przy blasku latarni. Mieszkańce i sąsiedzi zboru, spłoszeni ze snu powychodzili na krużganki i schody i patrzyli zdziwieni, nawet zatrwożeni, nie wiedząc co się święci. Wrażenie, jakiego doznali, musiało być bardzo dziwne i niezwykle, jak cała ta scena tajemnicza. Zrazu myślano, że ogień lub jaki napad albo jakieś inne nieszczęście, dopiero po modlitwie poznano Żydów obrzęd religijny nocny pełniących. Chasydzi wzięli rutę z największym nabożeństwem, pewni że cholera niezawodnie ustanie. We dnie pokazywali każdemu ciekawemu listek oprawny w sposób amuletu i zapewniali powątpiewających chrześcijan odwołując się do skutku. Dlaczego rabin w tak tajemniczy sposób rutę rwał, żaden nie wiedział sprawy zdać, bo się żaden nie śmiał zapytać rabina, którego czcili jako mędrca głębokiej uczoności słowem jako *kaligraf!* – Trzeba zaś wiedzieć, że człek uczony zowie się u nich *kenner* tj. znawca, *grojser kenner* – wielki znawca, zaś najuczeńszego najmędrszego zwa *kaligrafem*. Nie wiem czy się któremu z naszych kaligrafów śniło, że słowo to wyraża u Żydów szczyt, zenit mądrości. Takiego mędrca nawet zapytać nie wolno, tylko ślepo wierzyć; bo któżby się np. Rotszylda pytał, dlaczego on ma pieniądze? Bo ma, bo on Rotszyld. Ten zaś wie, bo on *kaligraf!* Natarczywiej badani, odpowiadali ogólnikami: Bo to takie ziele, tak trzeba świtem rwać, tak z dawien dawna bywało!

Przy tym wszystkim nie pomogła ruta, bo wnet umarł rabinowi syn! Nowy jęk, świeża trwoga w gminie, powiększona okolicznością, że cholera pomiędzy dwunastoma wybranymi chasydami, mimo rucianego liścia złotem szczykanego, w jak najlepsze gospodarować zaczęła wrywając po kilka ofiar z rodziny. Rabin zatrwożony nie mówiąc nic nikomu chciał po prostu uciekać. Wieść ta gruchnęła po mieście, Żydzi sklepy i kramy pozawierawszy poszli w pogoń i dopędzonego do odwrotu nawet przymusili, chcąc przynajmniej w jego osobie mieć zakładnika od zupełnej zagłady. Wkrótce jednak rozpacz ich doszła najwyższego stopnia, kiedy rabinowi umarł wnuk ulubiony, ozdoba i nadzieja

całej rodziny i gminy. W znak żałoby pozawierali sklepy i nie kupczyli cały dzień i pościli post dobrowolny. Do rabina chodzili tylko na podział smutku i pokuty, którą chasydzi po śmierci krewnego w ciemnym miejscu boso siedząc przez pięć dni i do dziewięciu dni odbywają. Wśród tego żalu i zamieszania radził kto co mógł, a w czasie pokuty rabina, brat jego także bardzo gorliwie zakonny objął ster gminy i począł bywać natchnionym. Raz tedy zapadłszy w podobną ekstazę oświadczył: „Cieszcie się synowie Izraela, bo jeżeli się będziecie weselić, to cholera ustanie w dwa tygodnie przed świętami *Tiszri* tj. nowego roku<sup>11</sup>. Takie we śnie miałem objawienie!”

Dalejże znowu chasydzi rozmyślać jakby się tu weselić. Umyślili i zebrali dwoje ubogich nowożeńców, którym sprawiała cała gmina huczne wesele. Muzyka brzmiała po żydowskiej dzielnicy głusząc jęki chorych, a pomiędzy mary ze zwłokami skakała puszcza młoda i stara poprzebierana za panie i dziewczki wiejskie, za Turków, Murzynów i co kto mógł wymyślić. Właśnie zaś tego dnia umarł nagle na cholere burmistrz miasta, urzędnik spokojny, prawy, którego Żydzi nie lubili, że ich nie protegował, ani można było z nim jak oni zowią „interesu zrobić”<sup>12</sup>. Kiedy dzwony śmierć jego obwieścili, nuż się chasydzi dopiero weselić, że niemila im ofiara padła. I widząc wtedy szalone skakanie po ulicach i płasy masek, rozumie się nie bradzo gustownych, można sobie było wyobrazić Paryż i podobną chwilę w *Żydzie wiecznym* opisaną. Wraz z upałami sierpnia ustała i powoli cholera.

Podobnie jak w Sączu zbierano rutę w wyżej wymienionych miejscach, a za przykładem Sącza także w Dukli i Strzyżowie, wszędzie bezskutecznie. W Strzyżowie wyrzekł rabin ku schyłkowi cholery: „Do przyszłej środy! Kto umrze to umarł! A we środę kobieta urodzi syna i cholera ustanie, kto przeżyje będzie żył!” – Tak się stało i żaden z chasydów nie wąpi w cudotwórstwo obu rabinów, a nawet brat sądeckiego, dzięki trafnej radzie i prorocत्वu, niepospolitego nabrał znaczenia. Wszystko to powtarzam działo się w roku 1855 w miesiącu sierpniu. Ludzie żyją, co mieli udział w tym i drudzy co się patrzyli na to. Podobnymi scenami rzucającymi światło na obyczaje Żydów naszych można by foliały zapisać. Gdybyśmy kraj swój tak znali jak dziś znamy Wschód i (dzięki pismom romantycznym!) serce zakochane we wszystkich możliwych kombinacjach i sytuacjach! Kto wie czyby nam się to na co dobrego nie przydało?

### OBRAZEK SĄDECKI<sup>13</sup>

#### Wróbel

*To fraszki – te małe ptaszki –  
Ale wróbel ptak!*

Wróbel zwykły jest to ptaszek, niepozorny, lecz wielkimi zdolnościami obdarzony, mianowicie: śmiałością w przedsiębiorstwach zbożowych, a po wtóre sposobami, którymi

<sup>11</sup> *Tiszri* to nazwa pierwszego miesiąca roku w kalendarzu żydowskim. Morawski miał prawdopodobnie na myśli święto *Rosz Haszana* zaczynające żydowski Nowy Rok. W 1855 pierwszy dzień roku kalendarza żydowskiego przypadał na 12 września.

<sup>12</sup> Prawdopodobnie Michał Fiałkiewicz, burmistrz Nowego Sącza od 1846 r.

<sup>13</sup> Felieton opublikowany w dwóch częściach: w nr 244 z 26 października i nr 245 z 27 października 1855 r.



drugich ptaków z gniazd wypędzać i one na własność obsiadywać umie. Ponieważ zaś te cnoty jego świata z dawien dawna znane, nie myślę się nad nimi rozwodzić. O innym wróblu z podobnymi cnotami opowiem.

Po roku 1772 zastały rządy sprzymierzone Żydków naszych zajętych kupią i przemysłem, a dumnych ze swego biblijnego pochodzenia. Czując w sobie krew 12 pokoleń, wzgardzali zwyczajem Zachodu, wedle którego każda rodzina zapomniawszy antenatów, przybraną nazwą się pisała. Oni nie pisali się inaczej, jak dotąd Wschód pisać zwykł: ojca imię obok swego, np. Abram Lewkowicz, Mojsie Aronowicz... itp. – co znaczyło Abram syn Lewiego, Mojsie syn Aronów. Pokolenie zaś samo przez się miało się rozumieć. Ponieważ zaś mnóstwo Abramów Lewkowiczów, mnóstwo Mosków Aronowiczów itp. bywało, więc chcąc ich między sobą wobec prawa rozróżnić, nakazano przybranie imion własnych. Nakaz ten otworzył wielkie pole bujnej wyobraźni synów Wschodu. Wedle krewkości i świadomości własnej, co w nich przemaga, przybierali nazwy od kwiatów, drogich kamieni, gwiazd, planet, zwierząt, zawsze jednak poetycznych lub przynajmniej znamionujących. Powstali w ten sposób: liliowe-pole, kwiaty-pole, różo-pole, różany ogród, jutrzienka, złoty-kamień, złota-gwiazda, safir, diament, złoty-mąż, srebrna-gwiazda, miesiąca-światło, lew, jeleń, kanarek, wielbłąd, sroka, wilk, a w końcu między krociami innych powstał i... wróbel! – o którego potomku rzecz wiodę<sup>14</sup>.

Wróblowie ci gniazdo mają nad Dunajcem, zaraz wedle gniazda królów polskich, mianowicie Jagiełłowiczów w Nowym Sączu, bo żydowska dzielnica jak gdyby szukając obrony pod skrzydłami orła królewskiego, rozłożyła się pod samym zamkiem. Wróblowie wierni swej nazwie i przyrodzie od wieków zbożem i ziarnem kupczyli, zostawiając złoto – złotym-gwiazdom (Goldsternom), korzenie – daktylo-drzewom (Dattelbaumom), itd. Na wzór wróbla ptasząt żyli skromnie, ale w dostatku, bo z rozumem wróblim. Do kupna brali się śmiało, do sprzedaży szcudrobliwie, a do obliczenia sposobami. Prosty więc wniosek, że im pierza nie ubywało, ale przybywało. Nie wiem dziejów całej rodziny, ale ustęp z życia jednego w obu Sączach i całej naszej starożytnej ziemi pod zwykłym imieniem Mendel (wróbel!) powszechnie znanego, zanadto wielki wpływ wywiera na krajową ekonomię polityczną, aby o nim można zamilczeć.

Po zniesieniu pańszczyzny – wypoczynek, lenistwo, opieszałość w uprawie roli, bieda, głód, rozpacz szły jedno za drugim<sup>15</sup>. Artykuły jęczące z okolic, gdzie jak świat stoi

<sup>14</sup> Władze austriackie rozporządzeniami z 1787 i 1806 r. nakazały ludności żydowskiej w Galicji przyjęcie nazwisk. Drugi z tych patentów sprecyzował, że mają to być nazwiska niemieckie, ale nieszlacheckie. Przy ich wymyślaniu fantazją wykazali się jednak nie Żydzi, lecz komisarze cyrkularni, dając przy tym dowody specyficznego poczucia humoru. Morawski podaje dosłowne tłumaczenia nazwisk żydowskich z języka niemieckiego na polski np. Rosenfeld – różane pole, Blumenfeld – kwiatowe pole itp.

<sup>15</sup> Tak o sytuacji w Galicji w okresie powłaszczeniowym napisał Wojciech S a r y u s z - Z a l e s k i w *Dziejach przemysłu w b. Galicji 1804–1929*, Kraków 1930, s. 70–71: „Trzeba pamiętać, że ten chłop [galicyjski M.S.] nie znał żadnych potrzeb poza potrzebą zaspokojenia głodu, zabezpieczenia się od zimna, tudzież potrzebą odpoczynku po przymusowej uciążliwej pracy pańszczyźnianej, że długie lata niezwykle ciężkich warunków bytu wyrobiły w nim ospałość, niechęć i niezdolność do samodzielnej pracy, czy choćby dobrowolnej pracy zarobkowej. Także ziemiaństwo przyzwyczajone

korespondenci się nie wywodzili, jako to: spod Mielca, znad Wiśłoki, od Sącza, od Jasła i Bóg nie wie skąd, z gospodarską szczerością pisane, potwierdzały historyczne przekonanie, iż szlachta wedle dawnego obyczaju szablę lub lemiesz zamieniając na pióro, najlepszym barometrem wzmagającej się wielkiej biedy w kraju! Tak jak tęskniąca do konia i szabli, wedle poważnych dziejopisarzy błogość i byt dobry ongi znamionowała. Ponieważ zaś troski samotności nie lubią, więc się zespoliła zaraza ziemniaków z łożnicą głodową, a dalej i nielitościwą śmiercią i gazdowały sobie jak za dobrych Dżingis-chana lub Batu-chana czasów.

Cóż tu robić? Jak tu pomagać? Dwory spustoszałe nie miały ani zboża, ani serca do zapomogi. Rzepa, której zachwalone nasienie bezpłatnie rozsyłano, zamiast w 6, miejscami 12 tygodni dojrzewała, a zołądkom się to „przydługawo” widziało, zresztą wyrósłszy pięknie nie chciała sycić. Porost islandzki<sup>16</sup> wielbiony w Krakowie, rośnie w Tatrach, a Tatry od Sącza daleko. Zresztą zbierać go można tylko w lipcu, jak twierdzą górale, bo spod śniegu aby go dobyć, trzebaby rogów i kopyt sybirskiego rena, przednówki zaś wiosną bywają. Może i to nie bardzo w nim smakowało, że wzmacniająca gorycz zanadto chęć jadła zaostrzała, a cukier i miód podrożał, więc neutralizować nie było czym, a nawet sam porost nie tak tani, aby nim krocie żywić. Perz, którego u nas chwala Bogu dostatek w równiach, w górach rzadszy i chudszy, a mielenie jego mało znane, więc też i z pożywności jego nie korzystano. Słowem trudna rada!

Widuję czasem „księgi pogrzebowe”, gdzie po imieniu i nazwisku zapisani ci, co wtedy z nędzy umierali, a bywało, spośród ludności wioski wynoszącej 800–900 dusz, co roku umarło 270 obłogiem!! Toć to już pewno nie były żarty, bo podobno i cholera i Korabelnaja z Małachową były łaskawsze jak ta nędza, o której pod nazwą „tyfus głodowy” niedokładne tylko wieści do was dochodziły.

Rząd krajowy widząc tak okropną klęskę wspierał lud wiejski pieniędzmi gotówką pożyczanymi, z terminem oddania dłuższym i bardzo miernymi odsetkami. Co żyło biegło do cyrkułu<sup>17</sup> wystawiać rękę. Brali jednego roku, brali drugiego, i radzi byli brać co rok, aleć to niepodobna. Pomoc jednak ta wielu ocaliła. Wielu jednak zasmakowało w żebraniu, i nuż szukać pomocy poza obrębem wsi i ziemi swej, która ich dotąd żywiła. Lud zleniwiwał do reszty, i ani sobie, ani komu chciał robić, ale się wałęsał jednego roku ku Pesztowi

---

było do bezpłatnej pracy chłopów pańszczyźnianych i w sytuacji niedostatecznych odszkodowań, przy braku własnego inwentarza i narzędzi rolniczych, nie mogło zapłacić oczekiwanych kwot. Wynikiem takiego stanu był brak robotników rolnych po cenach jakie właściciele mogli zapłacić. W okresie żniw, zwłaszcza w pierwszych latach po zniesieniu pańszczyzny, część zboża pozostawała nie zebrana”.

<sup>16</sup> Płucnica islandzka zwana także porostem islandzkim lub (błędnie) mchem islandzkim, porost rosnący w Europie, Azji i Ameryce Północnej. W Polsce występujący pospolicie w lasach sosnowych, na wrzosowiskach i torfowiskach. Na północy Europy używany jako dodatek do chleba. Chętnie jadany przez renifery. Roślina lecznicza. Z. P o d b i e l k o w s k i, *Słownik roślin użytkowych*, Warszawa 1980, s. 284.

<sup>17</sup> *Circulus* (łac.) – koło, obwód, niem. *Kreis*, jednostka administracyjna wyższego rzędu niż powiat. W 1855 r. Galicja dzieliła się na 18 cyrkułów. Nowy Sącz był stolicą cyrkułu, w skład którego wchodziły powiaty: Ciężkowice, Czarny Dunajec, Grybów, Krościenko, Krynica, Limanowa, Nowy Sącz, Nowy Targ, Stary Sącz, Tymbark. Tu nazwa cyrkuł użyta w znaczeniu urząd obwodowy – *Kreisamt*.

i Debreczynowi, na bezrok ku Wiśle, a Kraków był w oblężeniu. Nie mogliście wytrzymać tej blokady, więc uczyniwszy wycieczkę policyjną, jedną i drugą, odpędziliście oblegających od siedzib własnych, co równocześnie i Węgrzy zrobili. Rozpoczął się więc drugi tom biedy, bo żebractwo spadło jak gąsionki na kapustę i wraz ze złodziejami dogryzało ostatki mienia, nie pomagając w pracy i uprawie ziemi. Gazdowie zupełnie podupadli, nie mieli ziarna do siewu i sprzedając ostatni dobytek, opuszczali ręce.

Trzeba było lud: 1) odżywić, 2) obsiać, 3) zaprawiać powoli do zapomnianej i odwykniętej pracy. Czuł to każdy, myślał niemal każdy, mówiło wielu, pisano niemało, próbowało kilku, *a uczynił jeden! Jeden nasz poczciwy kupiec zbożowy, którego gniazdo, wróbla nazwę nosząc, nad Dunajcem obok Wacława grodu się rozpielesilo!*

(Proszę was wydrukujcie te słowa odmiennymi czcionkami, kiedy was nie stać na złoto! Aby świat wiedział, że wiek XIX wynagrodził cnotę, drukując ją odmiennymi czcionkami!)<sup>18</sup>

Najprzód tedy dawał nasz dobrodziej zboże na zapomogę, nie wchodząc, ba, nawet nie znając, czy kto bogat czy biedzien. Jedno tylko i to bardzo dawne i wojskowe prawidło zachował, że łącniej trafi<sup>19</sup> w kupę ludzi jak w jednego męża, więc dawał zawsze kilku naraz, aby wraz brali i wraz oddawali. Tak niewinnego sposobu nikt nie potępi. Ludzie zgłodnieli korzystając z chwili zapomagali się w jadło i niejeden ocalał. Lud nasz wdzięczny i przez samą wdzięczność wrodzoną czuje konieczność procentu zwłaszcza obiecanego dopiero. Zresztą mogę zaręczyć, iż kupiec nasz daleko mniej bierze w porównaniu z lichwą chłopów między sobą. Chłopi albowiem zwykli na wiosną zapożyczać się, nie chcąc przedawać podchowanego jałownika. Pożyczają więc tyle ile byczek lub jałówka warta 40–50 złp. (10–12 złr. m. k.) W procencie zaś dają do św. Michała tj. na półrocze furę siana, aczkolwiek małą, zawsze jednak 6–7 cetn. w wartości najmniej 4 złr. czyli 16 złp. Czyny rocznie 32 złp. od 40 – czyli 80 od 100. Doliczywszy gorzałkę wypitą<sup>100/100</sup>.

Nikt się tym nie gorszy, boć to wdzięczność za wygodę, obliczona pieniądze. Inteligencja dalej sobie w lichwie postępuje. Tak np. pan nauczyciel (hen! hen! daleko za górą, lecz nie powiem którą!) przychodzi do dziedzica swego i zastaje go podpisującego prezentę na plebanię opróżnioną w dobrach<sup>20</sup>. Pan nauczyciel wszczyna rozmowę od wychwalania cnót jednego z kandydatów, a *kolator*<sup>21</sup> mu przerywa: „Właśnie podpisuję prezentę dla niego” i pokazuje podpisaną. Wpływu na wybór nie miał nauczyciel żadnego, a jednak ciągle już blisko 20 lat żąda wdzięczności od biednego plebana i to wdzięczności, która się bardzo łatwo na brzęczącą monetę zredukować da. W dodatku w oczy i poza oczy wymawia mu wiecznie, iż on go lichwą plebanią uszczęśliwił. Nie jest to lichwa ogromna?

Albo to: panna posażna oddała rękę ozdobną pięknymi paznokciami wielce zakochanemu wielbicielowi. Pojął więc bóstwo swoje i serce jej i posąg jej i paznokciki jej

<sup>18</sup> Zgodnie z życzeniem autora zdanie tu oznaczone kursywą, w „Czasie” wydrukowane zostało odmienną czcionką.

<sup>19</sup> W oryginale „tafi”, prawdopodobnie błąd drukarski.

<sup>20</sup> Właściciele dóbr tabularnych zachowali prawo patronatu do kościoła parafialnego w swoich dobrach. Przejawem tego był przywilej wskazywania kandydata na proboszcza – *prezenta*.

<sup>21</sup> *Kolator* (łac.) – opiekun parafii, któremu przysługiwało prawo wskazania kandydata do *beneficjum*.

prześliczne. Panna przywdziała czepeczek strojny, odwróciła serduszko do kogo innego; żyje wspaniale, tak że już dawno posag przeszedł, i drugie tyle mężowe, i trzecie tyle po mężowskim spadku, i czwarte tyle długu, a ona ciągle mu wymawia, iż go uszczęśliwiła majątkiem i sercem!! Choć serce dla innego, dla męża długi i pazurki! – A nie lichwaze to? A małoż to takiej lichwy na tym bożym świecie? – Dajmyż więc spokój naszemu dobroczyńcy, i za to że jak drugi Józef Egiptu, wyżywił naród, nie pomawiajmy go o lichwę. Przynajmniej nie mogąc uniewinnić, puśćmy z braku dowodów jak to często robić zwykliśmy. Zresztą wkrótce po rozdaniu zapomogi, zboże tak podrożało, że odbierając bez lichwy, byłby jednak znacznie jeszcze zyskał. Zatem kwita!

Odżywiwszy zgłodniałe plemiona górskie, polskie i ruskie, obmyślał i dawał zasiewy. Zawieść żołądkowata, pomawiała go znowu, że w zbożu było wiele kąkol, łuszczu, stokłosa itp. nasion, że było wiele nikłego ziarna itp. Odwołuje się do całej Sądeczyny – czy nie orzemy jeszcze ciągle staropolskimi rodzimymi pługami trzy cale w głąb układając sztucznie ocalane skiby jak naleśniki na patelni, jedną wedle drugiej, ostrożnie by się która nie złamała? Nie grabiemyżże perzu dziopami, tj. po literacku się wyraziwszy, grabiami trzymanymi od dziop najętych za złotówkę dziennie, czasem i taniej, zawsze jednak 30–40 takich dziop na morgę licząc? Nie wiejemyż zboża workiem po staremu rzucając szuflą przez boisko? Chociaż wprawdzie po dworach rzadko, ale po plebaniach często, a u chłopów zwykle? Niezwykłażże to piosenka: „Nie zasiałem bo nie ma nawozu!” – „A czemuż była nie trzymasz na nim, wywożąc wprost w pole, jak to od zeszłego stulecia w Belgii, obecnie w Anglii, Francji, a dawno już w Styrii i Kurlandii czynią?” – „A fe! To nieład, to było wyginie.” – „A widziałeś też ten nieład np. w Piątkowej i to wygubione było? Bo już cię do ksiązek lub Anglii daleko...”

A od starozakonnego kupca mamy żądać, aby on wprowadzał ulepszenia gospodarskie, aby on zboże młynkował na dobrym młynku? Nie po staremu workiem? Zresztą młynki, wodne młyny mamy znać doskonałe, kiedy się złodzieje tak do nich dobijają, że nie puszczeni drzwiami wyłomy robią jak w Sewastopolu (szczęście, że moździerz nie znają!) Ale młynki? Młynki? Młynki co zboże oczyszczą z kąkol? To gdański wymysł, aby szlachcie coś urwać z ceny za polską pszeniczkę. U nas tak nie bywało i nie ma, przynajmniej zwykle w pszenicy bywa kąkol, w życie stokłosa, w jęczmieniu wyka, a w owsie omełek. Proszę się tylko popytać między plebanami co to meszne odbierali, jakie to tam pytlowane zboża były, jakie prochy, jakie łuszczce, że szkoda wspomnieć o tym! I niech się pomawiacze w piersi uderzą, jak się to młynkowało zboże dla księdza? He? Ale niech to między nami zostanie. Więc moi panowie, kwita i z tego punktu!

Poobsiewał tedy lud nasz pola częstkami, dzięki dobroczynnej naszego drogiego, jak mówię, Józefa egipskiego. Ale lud zleniwiwały nie chciał ani myśleć o pracy, tylko chodził po polu i patrzył w niebo, i żądał, aby Pan Bóg tak obfity urodzaj zesłał na zboże i ziemniaki, coby i Żyda zapłacić, i próżnować nadal można. Aleć tym ostatnim grzechem brzydzi się nasz pan Mendel i nie chce mu się dać rozpościerać. Prawda i to, że widząc opadające zboża dworskie, widział upadek kupi zbożowej, a oraz swój własny. Cóż więc czyni?

Kupuje kilka liber papieru białego do pisania, kupuje kilkanaście tuzinów stęplowanych cedulek, co się jak plasterki na suplikach przylepiają, i szuka sobie pisarza tak zwanego pokątnego, ponieważ ich w Sączu w każdym kącie pełno. Zasiadają tedy i piszą pozwy, ale nigdy na jednego, ale gromadkami, jak zboże wręcz brali. Na tym arkuszu

pozwany: Głód, Krol, Cępa, Sroka, z Kamionki; na tamtym Iżak, Lorczak, Michalik i Wanio, z Królowej Ruskiej; tu: Kiełbasa, Bochenek, Mężyk, Pałobiak z Ptaszkowej; tam Gajdosz, Miczołek, Pogwist i Stanek z Paszyna, atoli ci z Nawojowej, atoli owi zaś z Biećzarowej itd.

I dotąd pisali, dotąd pisali, aż opisali narodu, że to cud boski! I dalej z tym pisanem do justycjariusza to jest do sędziego, który się z łaćnińska sędzią sprawiedliwości zowie, nawet trochę z ubliżeniem innym sędziom, także przecie sprawiedliwym. Tam więc podali kilka kóp skarg, wskutek czego wyszło kilka kóp pozwów, aby się obżałowali na wyznaczony dzień przed sąd sprawiedliwości cywilnej, stawili na lice i roki. Obżałowani jednak widać przez delikatność, aby w sądowej izbie ciżby nie robić, nie stanęli na roki i lice, i zaocznie zasądzeni jako winni długu z procentem i kosztów procesu. Nie widząc hajduków sędziego ani lansdragona na koniu przy szabli, myśleli nasi zapozwani, że ta burza żydowska już przeszła i minęła ich głowy, i śmiali się w duchu z Żyda: „Hej, kumecku, co to poczniewa z tym Żydem? Chybaby trzeba pomyśleć, skądby to co wziąć dla bezkury? – Ja mu nie dam, bo skądci weźmie? Czy duszę dam! Comci miał to się zkiełkowało na przednówku ta! I nie ma. Albo sąsiad Jambrozy skądci weźmie? Jacy tego cieluszka ma i to podobno już nabrał na niego we wsi, dyć go przecie nie sprzedą, boby sobie już dojechał.” – niektórzy pooddawali, zwłaszcza majątniejsi, i nie myślano dalej o tym.

Aż tu pogodnego poranku po świeżutkiej rosie, czesze sobie hajduk z Mystkowa niosąc pod pachą cały snop cyrografów. Migiem obleciał i porozrzucał kędy mu się zdawało. Chłopi nasi choć umieją czasami po polsku czytać, daleko im do tego, aby w dziedzinę literatury niemieckiej wkroczyć mogli. Więc pisma rozrzuconego, mimo całej czystości pisania i wielkich zalet pisowni prawniczej, nie mogli, tylko dosłownie, nosem powąchać!! Pokazało się jednak, że to dostatecznym. Dowąchawszy się bowiem nieczystej sprawy, biegli hurmą do organistów, których jednak *copia verborum* niemieckiego języka od rekrutów lub drugiej normalno-trywialnej szkole nabyta w słowniku kruciuchnym, bo z następujących wyrazów złożona – *Waszistas* i *ferfluchter teifer* złożyć się da, więc biegli rozciekawieni dalej. Po plebaniach tedy i dworach stało się zbiegowisko i rozpoczęto łamanie czworograniastych na opłatku papierzanych pieczęci. We wnętrzu cyrografu każdego była znowu przyklepiona stęplowa ceduleczka zielonkowata, z dwoma aniołkami przesłicznie na stali rżniętymi, z których każdy palmową różeczkę trzyma. Górą dokładnie oddany herb państwa, a dołem nieszczęsne 1 fl. co znaczy, iż taki stempel za 4 złp. kupić można. Szkoda tylko, że cały ten obrazek więcej na banknota wyglądający oszpecony czarną kopconą pieczęcią sędziego sprawiedliwości, na której jakaś postać biała chuda, bez oczu i nosa, z jakąś niby palicą w dłoni pod kabłąkiem runicznego napisu stojąc – stęplowy wkoło ślicznie karbką obwiedziony obrazek, gdyby zmoren jaka do połowy przyległa. Środkiem arkuszowego czoła jaśniał wężykowatą kaligrafią rozkosznie nakreślony wyraz: *Utheil* i jędmny wykrzyknik przy nim! A znaczy ten wyraz „wyrok”, a wyroku tego treść była:

„A ponieważście nie zapłacili coście winni Mendlowi Wróblowi, więc macie zapłacić w 14 dniach dług i procent i za stępel i papier i za pisanie i za rozesłanie, a jeżeli nie zapłacicie dobrowolnie, to was się będzie grabić gromadkami wraz, jakieście wraz dług zaciągali, jeden za drugiego odbeczy!” – Taka mniej więcej była treść wyroku onego. Chłopi w śmiech słysząc o „grabieniu”. – „A tegoćci jeszcze nie stało, za Żyda będą nas grabić! A nie może on kanalski duch zaczekać! A to nam cesarz tyle czasu czeka, a on nie może! A ksiądz pleban choć przecie duchowna osoba, a czeka nam i mesznego z kilku lat

i gontów na dziurawy dach, za co już do dworu lansdragon z paletą jeździł. A onemu tak pilno! Jakby to gad nie miał pieniędzy więcej od nas. Jeszcze każe, żeby jeden za drugiego płacił. Na złość nie dajma kiedy tak!” – Ba! Kiedy to nie taka łatwa sprawa z człkiem systematycznie działającym. Po dwóch tygodniach gruchnęło naraz, że we Frycowej najprzód wójt frycówkę dostał. Uraczony i podchmielony zaręczał za każdego, kto go poprosił i uraczył, i tym sposobem za kilkunastu biedniejszych kumów obstając, na kilku pozwach figurował. Kumowie zboże przejedli, a co mieli gotówki przejemaczyli zwyczajem tej części Nawojowszczyzny, którzy zaniedbawszy rolę po jarmarkach łązą i jeden drugiego okpiwa. Przyszło więc na kuma wójta wypić, co wraz z kmotrami nawarzyli. W asystencji zwierzchności miejscowej i żandarmów zjechał pozew z dekretem, zabrał cztery piękne woły wójtowi i zaraz: „Kto da więcej?” – sprzedali za wyższy grosz.

„Masz ta diabła w garści, ścisnijżego aż ci pisknie!” – wołali gazdowie i skrobali się poza oba ucha, i nuż w radę. A najśmielsi kamionczanie wzięli po 7–9 jajek w siwą chusteczkę i pędzą do Mystkowa, aby im sędzia za tych jajek kilka poradził, jakby to Żyda odzęgnać od bydła. Niestety! Nie usłyszeli sposobu innego, tylko: „Zapłacić i koniec! Nie zapłacicie będą grabić i licytować.” – „Kiedy nie ma skąd, panie sędzio!” – „W Zawadzie na boisku leżą pieniądze, ale ich trzeba cepami zbierać; w Kamionce, na Grodzkiem, w Piątkowej i wkoło leżą pieniądze po polach i łąkach, ale tylko kosą dadzą się zebrać; po ziemniaczyskach wszędzie gruby pieniądz leży, ale go trzeba wykopać; w ratuszu, w cyrkule i we wszystkich domach w Sączu, które się murują i pobijają, są pochowane, ale tylko siekierką na przydaszu lub między cegłą i wapnem podawanym można je wynaleźć; więc idźcie w imię Boga, szukajcie, zbierajcie, zapłaćcie, bo inaczej mam nakaz grabić i sprzedawać wam bydło, zboże, chałupy i grunta! Bądźcie zdrowi!”

„Jako żywo kumie! Z nim się ta nie dogada!” – „Diabła ci się ta dogada, trzeba płacić i koniec.” – „Toć chyba musiewa pójść za zarobkiem, bo jużcić cóż począć! A ja ci se tu myślał, że narąbę wiązek, bo by trzeba na buty albo karpiele i na sól, i wedle chałupy by co było zrobić, czy paliwa babie przynieść, czy wody, czy ciotka popaść, a ta bezkurja, ej bodajżecie, ej żecie!” – „Tak ci to, tak.” – „Tak, tak.”

Potakując sobie nawzajem zabrali się kmotrowie wiązać cepy, klepać kosy, oprawiać kopacze, i dalej tłumem za zarobkiem. I był wielki czas! W Zawadzie, Brzezynie, Piątkowej, Porębie, dworskie stodoły jeszcze nie wymłócone, czekają boskiego zmiłowania; trawy, zboża nie pokoszone, a tu rąk nie ma – w okolicy to samo – w mieście mularze sami cegłę i wapno noszą, a cieśla pojedynczy na trzech dachach usiadywa, a tu organizacja jedzie, urzędnicy jak pszczoły od sieni do sieni biegają szukać pomieszczenia dla żon i dzieci przybyć mających... W tem jakaś mgła czarna Kamionki korytem się wali – to nie mgła, to ludzie w czarnych kapeluszach, chłopi z kosami, cepami! – „Wszelki duch chwali Pana Boga!” – „Czy pospolite ruszenie na Turka? Czy „Panie odpuść” rabacja? Czy jaki cud?” Nie cud, nie rabacja, nie wojna, to kamionczanie zarobku pytają, i królowanie i boguszanie itd.

— A czyż ich Duch Święty natchnął? Tać oni tego nie rabiali, któż ich to na to napowiódł?

— Nie Duch Święty ich natchnął, ale ich ludzki rozum, poczciwość roztropna jednego współziomka naszego nawodzi na drogę pracy.

I to współziomka cichego, skromnego, bez tytułu, bez znaczenia, męża rozumu wielkiego, co umiał swój cel wpleść w cele ludzkości i oba osiągnąć drogą prawa zwykłego, wyrokiem sądu sprawiedliwości czyli justycjariatu! Całą tajemnicą, całym kluczem fortecy, całym Małachowem Lenistwopola uznał: *bombardowanie wyrokami egzekucyjnymi*

w czasie żniw i zbiorów – a nie w zimie, lub w czasie bez zarobku; a po wtóre: aby w kupe celować, w masę, nie pojedynczych; a po trzecie: aby w chwili wykonania wyroku, nie romansować ani żartować z obżalowanym, mianowicie jeżeli jest gnuśnym, leniwym i lekkomyślnym.

Oswobodzona Nawojowa, Zawada, Piątkowa, Grodzkie, Przetakówka, nawet piekło samo i połowa sądeckiej ziemicy, wymłóciwszy i zebrawszy, wołają! O! Rodaku nasz starozakonny, wykołysany na podwalu zamku i gniazda dawnych Jagiełłowiczów, a dziedziców Sącza! Przyjm od nas cześć i wdzięczność za dobre serce i rozum twój wielki. W Grecji przechadzał się Plato po ogrodzie, a za nim ciekawa dziatwa helleńska gęsiego idąc i podsłuchiwała rozpraw jego i uczyła się: metafizyki, gimnastyki i muzyki i zwała się szkołą przechadzkową! Współobywatelu ziemi naszej historycznej, przyjm syny nasze ciekawe na naukę, pozwól im aby za tobą długim pasmem chodząc podsłuchiwały i uczyły się twego rozumu i twej ekonomii, a będziemy pewnymi, że nie zbankrutujemy. A jeżeliby kto z nas nie mógł zebrać z pola lub wymłócić, toć roześlej czarodziejskie pozwy twoje między lud gnuśny okoliczny, a oszczędzisz nam i zdrowia, i artykułów pośmiertnych o pańszczyźnie. W dowód zaś naszych zasług, obiecujemy nie workami, ale młynkami zboża czyścić, dla ciebie, aby nie było przyczyny pomawiania cię.

W końcu nim się nam pora zdarzy wypić kieliszkiem twoje zdrowie: Mendlu! Obrońco! Kochaj nas, a my ciebie zawsze szanować będziemy pojedynczo, kupkami i całą hurmą!!!

Ukończywszy już dokument przekazujący potomności zasłużoną i dowcipnie wykupczoną sławę kochanego sąsiada starozakonnego, ośmielam się wspomnieć o widowisku godnym lutni Majerbera i widzów stołecznych. Na boisku średniego dworu w Zawadzie, „debiutowała” dziewczka dorodna *solo*, z cepem w rękę przez cały prawie tydzień, w braku młocków męskiej płci. Gdyby to tak na scenie wystawić: boisko Zawady, po bokach wyględy snopami po części zapchane, na środku „debiutantkę” z cepem młócacą *solo*, a w chwili odpoczynku najprzód bolesne drżące. Ach! Potem wylanie z serca goryczy wprost na męską płeć, że nie tylko niewdzięczna, zdradliwa, ale nawet leniwa. Dalej podsłuchanie, skrucha, żal, przeprosiny, zazdrość, przystanie do ułanów, bohaterstwo, kalectwo nie rażące, krzyż, powrót, wesele itd. Pomyślcie też nad tym tematem. Dla samych dekoracji wartałoby. Balet podchmielonych dałby się bardzo zastosować, a *solo* na cymbałach zrobiłby furorę.

## CYGANIE W STARYM SĄCZU<sup>22</sup>

Cygaństwa przerozmaite coraz większego rozgłosu nabierają po świecie. Do niegdyś skromnego i pogardzanego (przynajmniej w Polsce) rzemiosła, biorą się ludzie nie powołani do niego! Cygaństwo wchodzi w życie cywilizacyjne, w życie towarzyskie ludzi, którzy wcale niezwykli liczyć się do wyrzutek plemienia indoeuropejskiego, jakimi są paraindyscy, *vulgo* Cyganie. Wszystkie gazety piszą o tym, nawet dyplomatyce niejednej nadając dyplom honorowego mistrzostwa w tej gałęzi przemysłu.

<sup>22</sup> Felieton *Cyganie w Starym Sączu* opublikowany został w czterech częściach, w numerach 97–100 (27–30 IV) 1860 r.

Aż oto! Przed kilku tygodniami podczas kilkunastostopniowego mrozu i sławnych ryterskich wichrów, w Starym naszym Sączu, za cmentarzem świętego Rocha na dawnej swej ojczyźnie, bo na przedmieściu Cyganowice zwanym, gdyby z ziemi wyrosło pięć brudnych namiotów i kocująca rodzina cygańska o kilkudziesięciu głowach i 16 koniach rozbiła kosz<sup>23</sup> na grubym i zimnym śniegu.

Nazajutrz wajda<sup>24</sup> cygański z buławą, na której prócz ozdób srebrzystymi ćwiekami jasno wybite stało: Jerozolima! – zajechał przed becyrk, w towarzystwie dwu drugich Cyganów, i grzecznie, układnie a poważnie oddawszy uszanowanie zwierzchności, okazał urzędowe pismo wierzytelne, i poświadczenia prywatne, prosząc, aby im jako kotlarzom z rzemiosła nie był wzbroniony pobyt na śniegu w polach przedmiejskich. Przy czym się okazało, iż są z Węgier, z Małego czyli Kisz-Warażdynu<sup>25</sup>, gdzie wajda rzeczony poważny urząd naczelnika całej gminy w swej wsi piastuje.

Pismo, podpisy, pieczęcie były bez nagany – więc im pozwolono.

Niebawem rozniosło się po naszym spokojnym błogosławionej Kingi grodzie, że Cyganie będą kotły, kociołki i rondle naprawiać, dając zastaw w złocie lub srebrze. Jakoż istotnie pojawił się najprzód sam Janosz, wajda, w towarzystwie swego adiutanta przed klasztorem zakonnicy i okazawszy pisma wierzytelne jako człek cywilizowany i do gmin ludzkich należący oraz poświadczenia kotlarskie, prosił o robotę. Na wznesione powątpiewanie względem pewności oddania, nie odrzekł ani słowa, ale sięgnąwszy do kalety, wydobył kilkanaście nowych złotych napoleonów<sup>26</sup> i kładąc na stół pytał, czy będzie dość na zastaw, a jeżeli mało, to drugie tyle złoży.

Wystarczyło! Więc bez trudności oddano mu do naprawy kotły, kociołki i rondle miedziane. Za przykładem klasztoru poszło miasto, dawali do naprawy kotły i rondle, a w zastaw brali pieniądze złote francuskie i cesarskie dukaty i to wżwyż wartości powierzonej miedzi. Od roboty żądali 3 fl. waluty starej (4 złp. 24 gr) od funta wiedeńskiego dodanej miedzi i odnosili niebawem robotę doskonale uskuteczniłą.

Mieszczanie i my, rezydenci starego miasta Sącza, głosząc pochwały wyrobu, i widząc Cyganów uwijających się konno o samorodnych rzędach, czykosów węgierskich, tj. bez siodła i uzdy, zdjęci ciekawością wyszliśmy oglądać to kocujące plemię, którego mianem oszustów wszego świata Polacy przezywać zwykli.

Zastaliśmy pięć namiotów z pojedynczego zgrzebnego płótna, które do tak zwanej hermetyczności czyli nieprzepuszczalności wiatru i deszczu najmniejszego sobie nie rościły prawa. W każdym namiocie mieściła się osobna pokrewna rodzina, w ostatnim proajciec wszystkich ze swymi najmłodszymi dziećmi.

W każdym namiocie było ognisko (watra), przy którym topili miedź, a obok drugie małe, gdzie jeść gotowali. Ognisko kotlarskie poddmuchiwały miechy do rzędu cylindrowych

<sup>23</sup> Tj. obóz.

<sup>24</sup> Tj. naczelnik.

<sup>25</sup> Cygańskie przedmieście Wielkiego Waradynu, miasta w węgierskim Siedmiogrodzie, obecnie Oradea w Rumunii (red.).

<sup>26</sup> Właściwie *le Napoleon d'or* złota moneta francuska wprowadzona w obieg przez Napoleona Bonaparte w 1803 r.



należące, które okazywały, że właściwe pierwiastkowe ludzkości miechy musiały być cylindrowymi. Ognisko to, był to mały dołek wygrzebany, nad którym leżały dwie rurki blaszane, których drugie końce były obwiązane pyskiem skóry psiej, kosmatej czyli włosatej, podczas kiedy cała skóra pozaszywana, ogonem do góry obrócona, tworzyła miech, a ogon skóry służył za rękojeść do trzymania dymając.

Takich miechów jest dwa obok każdej watry. Wśród nich siedzi Cygan, albo częściej Cyganie, podrostek co spogląda obojętnie, to w bok, to przed się zawracając czarnymi oczyma i podnosząc jedną rękę w górę, a drugą na dół opuszczając dyma bez ustanku. I nieźle to wygląda takie usmolone ciemne Cyganie, o jasnych białkach wkoło czarnych źrenic i o bielutkich równych zębach, jak ono leniwie to podnosi, to opuszcza owe kudłate, srokate miechy, prawie samorodne.

Odzież jego niewymyślna, jakiś z ojca zdjęty spencer, jakieś coś, co powinno okrywać ciało od pasa w dół i obie nogi powyżej kolan, ale swego przeznaczenia nie pełni, mianowicie na kolanach i łydkach, tak jak koszulina na łokciach. Od wielkiego zimna zawdziewają mu kapelusz na głowę, a nogi przysuwa bliżej watry, zresztą miechy może dla tego kudłate, aby dymającemu ciepłej było?

Przy tak pojedynczo urządzonym ognisku, siedzi Cygan kotlarz na ziemi, zajęty swą pracą. Najprzód strzyże stare kawałki miedzi do małej glinianej miseczki, którą zakopuje w żarze ogniska. Kiedy się stopiła, zrzuca wierzchnie żuźle i do czystej miedzi kładzie w szmatę obwinęte chemiczne jakieś ciało, które łącząc się z miedzią w kruchy amalgam ją zamienia. Kocioł obmyty chemicznie i oczyszczony, posypuje owym proszkiem, trzyma chwilę nad ogniem, a miedź uwolniona od swego chemicznego współnika, osadza się na kotle, łącząc się najdoskonalej. Tak bez wszystkiego owego kotlarskiego huku puku, bez maszyn i przyrządów sporządzali, a zaraz i wybielali najdoskonalej, miedziane wszelkie naczynia, na poczekaniu, bez krętaćw i gadaniny.

Żyli w zupełnej zgodzie pomiędzy sobą podlegając swemu wajdzie, a poważając dziada swego siwego. Raz się zdarzyło, że młody Cygan na mieście ojca nie usłuchał i coś mu odrząknął, to go obaczywszy wajda, skroił kijem parę razy aż się zgiął i do bezyrku zaprowadziwszy prosił, aby uwięzić i ukarać nieposłusznego syna. Gdyby to tak naszych paniczów wajdowie chcieli do becyrków prowadzić, to by może terażniejsza ich liczba nie podolała pracy sądenia!...

A więc pracowici i zdolni Cyganie czczą rodziców i starszych, żyją w zgodzie.

Żyli sobie miernie i skromnie, ale przyzwoicie. Codziennie wyjeżdżał do miasta wózek i zamówioną liczbę chleba brał u piekarza, któremu naprzód kilkanaście papierków bankowych złożyli, jako ludzie porządni, którzy umieją i chcą płacić. Kupowali mięso, słoninę, ziemniaki i kaszę, a wszystko płacili gotowymi papierkami; bo złoto i srebro chowali, za żadną cenę nie chcąc go wymienić. Jadło sporządzali porządnie, każdy namiot osobno i jedli regularnie. Napojów mocnych nie używali, chyba czasem wina bardzo miernie i to li starsi tylko. Żaden się nigdy nie upił. Lulki kurzyli dorośli tylko mężczyźni i kobiety, dzieci nigdy.

A więc byli w całym znaczeniu słowa wstrzemięźliwymi, miernymi!!

Mieli ze sobą koguty, króliki i morskie świnki, które biegały wokoło namiotu, ale tylko Cyganom dały się chwycić, a kogut wypiewał im godziny. Konie leżały i stały pod gołym niebem, a były dość zażywne, żwawe, o długich grzywach, po części białe, a na pierwszy rzut oka było widać, iż to konie cygańskie. Tak jak konie elegantów, jak brykarzy,

jak maziarzy<sup>27</sup>, konie swój odrębny typ mają, tak i te cygańskie. Ciekawe było patrzeć, jak rozkosznie na grubym śniegu rozciągnięte, do słońca się wygrzewały! – tak samo jak i kogut, i morskie świnki, i króliki, i naga, ale to często zupełnie naga, a wesoła dziatwa cygańska, o tych czarnych świecących oczach i tych wiecznym uśmiechem wyszczerzonych białych ząbkach. Wszystko to zdrowiuteńkie, wesołe i zadowolone ze swego losu i położenia. Wieczór nucili pieśni jakies przewlekłe smutne, ale żadnych zgielków, hałasów nie wyrabiali, zwyczajnie jako ludzie spokojni i rzekłbym gospodarni, którzy poważają sienie i swój własny przybytek, i lubią te swoje namioty, i nie chcą im ubliżyć.

Dał im Bóg gościa! Cyganka powiła zdrowe niemowle, pod namiotem płóciennym, na mrozie kilkunastostopniowym, o boskiej tylko pomocy. Wedle swego zwyczaju przynieśli świeżej wody rzecznej z Popradu i skapali je w zimnej rzecznej wodzie pod namiotem na mrozie. Musiało dziecko w krwi swojej mało sublimatów ulotnych mieć, bo mu to zupełnie nie szkodziło. W kumy zaprosili panią lekarzową, niegdyś kwarantanną, i mieszczanina zamożnego, którzy nie odmówili koczującym ludziom, porządnym i pracowitym. Panowie lekarze dziwili się niesłychanie nad mocą i siłą nerwów Cyganiątka i matki jego, a raczej wszystkich ogółem, i kto wie czy kiedyś towarzystwa lekarskie oddziału nerwowo-sanitarno-herkulizującego, nie zwrócą badawczych źrenic na ową olbrzymią nerwów cygańskich siłę i czy Europie zdenerwowanej nie zapiszą na lekrastwo koczowanie *à la* Cygan!

Może to owe podrózkowanie zapamiętałe nasze – początkiem tej kuracji! A koczowanie pod gołym niebem, dla wzmocnienia nerwów nastąpi? Nie zanosi się na to.

„Jedna to ręka co różgą bije – i perły dziecku kładzie na szyję”.

Opatrzność zesłała młode plemie, a wzięła wyrosłe. W namiotach cygańskich wywiązała się szkarlatyna, kilkoro zachorzało. Mimo opieki, mimo troskliwego zawierania namiotu od przeciągów, umarł młody kilkunastoletni Janosz. Byłoby może i więcej pomarło, ale Cyganie pospieszyli do apteki, pokupowali *zelenki* na herbatę i cukru, a które się dziecko napiło zaraz wyzdrowiało.

A wiecie co to za cudne ziele ta „zelenka”? To lipowy kwiat! Dla nas cywilizowanych może by dopiero jodyna z chininą była ten sam skutek wywarła, co dla nich pocziwiej lipy woniejące kwiecie.

Od chwili zgonu młodego Janosza, porzucali wszyscy Cyganie nakrycia głowy na znak żałoby i przez dziesięć dni chodzili bez kapeluszy. Biedna zaś matka zmarłego syna kochanego, trzy dni i trzy noce nie odstępowała zwłok, leżała lub siedziała przy nich, płacząc, żałując i ciągle go po imieniu wołając i strokaną głowę kładąc na skostniałe jego serce. Nie biło już! A ona jeszcze nie wierzyła, ona jeszcze słuchała i rękę przykładając, i podczas pogrzebu za trumną się zataczając ciągle wołała: Janosz i Janosz! I do grobu ją jeszcze wpuścili, aby na trumnie klękawszy, ostatnie serce – Janosz N.N. Jasiu! Synu mój, zawołała – do trumny przykładając.

Cywilizacja ma kostnice opalone, w których stróże płatni czuwać mają czy się zmarły nie obudzi. Cygańska biedna matka sama takim pośmiertnym stróżem.

Trumnę pomalować dali w węgierskie narodowe barwy i nim włożyli zwłoki przynieśli ją do księdza, prosząc o poświęcenie. Podzwonne zapłacili bez targu; pogrzeb

<sup>27</sup> Wytwórcy i wędrowni sprzedawcy smaru z ropy, używanego m.in. do smarowania osi kół od wozów.

zgodzili, prosząc aby ksiądz wyszedł do namiotu za miasto. Zgodzili zaraz i muzykę, aby im grała przez wszystkie trzy dni, aby ich rozweselała po parę godzin dziennie. Zwłoki obmyte ubierali w świąteczne szaty gdyby do ślubu, a kiedy mu zawdziiali kozłowe węgierskie buty i mówili: Janosz! Gdyby ci Bóg użyczył dłuższego życia, byłbyś pojął dziewicę narzeczoną! Z wieńcem na skroni i brzęcząc ostrogami byłbyś z nią tańczył czardasza na weselu swoim! Teraz ty leżysz martwy! Ostrogi nie brzęczą, a my płacząc kładziem ci weselny wieniec na twe zimne skronie!! Posłali mu łożo pośmiertne, przykryli jedwabną kapą i tak leżał przez trzy dni, a matka obok. I nic nie robili przez ten czas, a kto przyszedł nawiedzić zwłoki musiał zdjąć czapkę tak jak i oni.

Księdzu jedwabną chustą nakryli stół niski i przygotowali ryby i wino, aby jadł i pił przed rozpoczęciem nabożeństwa. Widać u nich taki zwyczaj! Zdziwili się, iż ksiądz nieprzyjawszy zaprosin, zaraz modlitwy i pogrzeb rozpoczął.

Na pogrzeb szli wszyscy! Dzieci nieśli lub prowadzili. Młody brat zmarłego niósł przodem kwiatami i białymi wstążkami uwieczony krzyż grobowy, a jękem i wołaniu Cyganów towarzyszył gwar ogromnego zbiegowiska. Sami go spuszczały do grobu, sami grzebali. Do trumny dali mu papier i ołówek zakrojony, nad trumną rozlewali wino, którym znów ksiądz częstować chcieli. A po pogrzebie to sobie ręce myli nad grobem.

Na pogrzeb nie żałowali wydatków, byle tylko był okazałym, a braku religijności wcale im odmówić nie można.

Wystąpili w najlepszych strojach mężczyźni z węgierska w dolomanach i to wcale porządnych. Młodzież, mianowicie dwu młodzieńców, wystąpili w przewieszonych hałatach, bo myślę, że ich miejsce miały zastępować owe manszestrowe *staats-kleydy* dworskie z czasów Augusta II. Istne saskofrankońskie kaftany czerwone i modre, blaszkami i szychem suto wyszywane, o szerokich rękawach wyłożonych, z kieszeniami na tabakierę. Frydrych Wielki byłby się może przyznał do którego, że to dworzaniom jego odkupione. Do tego wołosko-węgierskie rękawy u koszul ogromnej szerokości w brunatne wstawiane pasy z boków, a nad tym całym ładna cygańska główka czysto madziarskiego kroju, o małym nosku i samolubnie a energicznie zaciętych wąskich ustach a przesłicznych zębach, które tym ładniej odbijały od lśniących czarnych wymuskanych kędziorów.

Nawet Cyganki młode uczesały i umuskały swe czarne kędziory nasplatanę, co zresztą rzadko kiedy czyniły.

Nasz starozakonny przemysłowiec Mendel idzie sobie zadumany jak zwykle myśląc o wekslach, traczach i kamienicach. Zagaduje go ktoś z boku

— Panie Mendel! A pan nie idzie przypatrzeć się Cyganom?

— Przypatrzeć? Komu przypatrzeć? Gdzie przypatrzeć?

— Cyganom za św. Rochem w polu!

— Cyganom w polu? – Ny! A na co mam w pole chodzić patrzeć się na Cyganów, albo ja ich tu mało widzę w Nowym Sączu?!

Czyż tylko nasz Mendel tego zdania? Czyż nie cały świat Cyganem zwie lada okpiarza, lada oszusta? – Apeluję do tegoczesnych obrońców narodowości ludowych! Czyż Cyganie narodem tak podupadłym, żeby się nie godziło stawać w jego obronie, tak jak to kosmopolici twierdzą o Irlandii i jej poddanych??

Cyganie, jak na swoje oczy przekonać się łatwo, liczą gminy urządzone należycie i prawnie, są przemysłni, zdolni rękodzielnicy, pracowici, trzeźwi, zgodni, zwierchność

poważający, do buntów nieskłonni, muzycalni, artystyczni, umieją czytać i pisać, nawet do trumny zmarłym przybory pisarskie kładą, posiadają do tego złoto bręczące, owo zgoła posiadają wszystkie cnoty towarzysko-społeczne. I czemuż świat lada hultaja i oszusta Cyganem zowie? Czemuż się narodowością ich potrząsa i tak bardzo jej ubliża??

Czy może temu, iż czasem końskie mięso jadają? A Paryż, a Wiedeń nie jada? W Polsce nie było hetmańskiej pieczeni z pieczonego zrzebięcia? Nie jadaliż jej hetmani w obliczu wojska? A chany krymskie mieliż nad nią lepszy specjał?

Czy może temu, że bosy chodzą? A nasz lud nie chodzi na bosaka? A drugim nie zanosy się na to?? Możeby nawet nie zaszkodziło dzieci wcześniej w to wzwyczajać!

Gdybym sobie był od rzeczzonego waju wziął pełnomocnictwo specjalne *ad hoc*, byłbym niezawodnie zacięcie bronił narodowości cygańskiej i to z najsluszniejszych powodów, z powodu filantropii kosmopolitycznej. I Prusacy tak nie bronili Szlezwik-Holsztynu, jak ja bym ich bronił przed poniewierką świata.

Bo wolno nam było nie ochraniać naszej mowy i naszych zwyczajów, wolno nam było francuską dyplomatyczną mową rozmawiać między sobą, a niemiecko-filozoficzną w naukach i prawie; wolno nam było zarzucać tańsze bo trwalsze, wygodniejsze, ba do klimatu zastosowane odzienia i owe kapoty, bekiesze, czamary; wolno nam było francuską oświatę przemieszać do krwi naszej czystej, boć to nasza krew, nasza mowa, nasze ubiory – mieliśmy prawo do nich i mamy.

Wolno nam, Haliczko-Włodzimierzanom czystej krwi, bezmyślnie i nie na czasie przez gorące głowy podejmowane hałasy, poezje i niemodne, a niby narodowe stroje, zgoła całą tę ramotę nazwać Polakierią, boć to sami poczuwali, że to obce naszej przyrodzie powstałej ze zlewku krwi halabardników lub sukienników szkockich albo jakichś tam, z tą co to jej się także już co swoje przejadło. Byle chwilowo dobrze było.

Ale oszustów zwać Cyganami? Tego nam nie wolno, bo to nie nasze! A nam obce zawsze świętszym! A niechby kto półgłówków zwał Haliczko-Lodomercami, albo po prostu, Galicjanami! Czyżby to nie bolało? I czemuż obcej narodowości zadawać niełuszną boleść?!

W imieniu biednych, pocziwych, zapoznanych Cyganów, których pracowite, a zdolne gminy koczujące od Kiszwaradynu aż po Poprad i Dunajec, wszelkie miedziane naczynia najdoskonalej i bez huku naprawiają, wstawiam się, aby odtąd oszustów nie zwać Cyganami.

Bo gdzież na ten przykład godzien nazwiska Cygana, taki kupiec płócien, w których ledwo część lnu, a reszta bawełna dla ciężkości metalową szlichtą gładzona? Albo owych sukien ze starych przerabianych i z bawełną mieszanych? Albo owych jedwabów, pianek morskich, bursztynów, szampanów itd. wiedeńskich lub reichenberskich, czy jak je tam zowią?

Gdzież np. prawnik, obrońca co nie dopuszcza zgody w żaden sposób, co zaręcza słowem honoru, uczciwości itp., że wygra sprawę, i oddaje akta gdyby się do zgody przychyłano; a potem wkrótce niby to przez pomyłkę, przez zapomnienie przegrywa, albo raczej wygrać pozwoli... Tacy ichmościowie, cywilizowani oszustowie *et consortes* bijcie się w piersi! Niewarcicie nazwy Cygana, kiedy Cyganie dobrzy i pocziwi ludzie!

Słowem, mamy poniewierać narodowość taką, to poniewierajmy chyba... swoją własną... tak... jak... dotąd robiliśmy... ale cygańskiej dajmy pokój! Bo to grzech!! – Obce szanujmy, bo to modnie, a co modnie to i ładnie.